

[cruise guide](#)

Wycieczkowcem po tanioci, czyli shoestring cruise guide

Shoestring solo oznacza w języku angielskim „sznurowadło”. Natomiast w związkach *on shoestring*, *shoestring budget*, *traveling on a shoestring*, oznacza podróżowanie tanim sposobem, budżetowo, a *shoestring guide* przewodnik o takim podróżowaniu.

Przypomniałem sobie te idiomy w momencie podjęcia decyzji o rejsie (*cruise*) statkiem wycieczkowym kursującym po Morzu Śródziemnym. To moja pierwsza taka wyprawa. Być może moje wybory, perypetie i wpadki ułatwią innym morską eskapadę i przygotowanie się do niej z uwzględnieniem jeżeli nie minimalizacji, to przynajmniej ograniczenia wydatków.

Wybory

Stawiam losowo na armatora i siedmiodniowy rejs:

Civitavecchia–Savona–Marsylia–Barcelona–Palma di Maiorca–Palermo–Civitavecchia.

Pierwsza decyzja to wybór kabiny spośród: wewnętrznej za 770 euro, z oknem za 820 euro i z balkonem za 870. Wybieram rozrzutnie z balkonem i od razu jestem na minusie. W cenie kabiny są trzy główne posiłki, przekąski między posiłkami, basen i inne urządzenia sportowo-rekreacyjne, udział we wszystkich imprezach organizowanych na statku. Zakładam zatem, że na jedzenie i picie nie wydam ani eurocenta. Dostaję też wiadomość o możliwości wykupienia jednego z pakietów: *soft drink* – napoje bezalkoholowe za 160 euro oraz *my drinks* i *my drinks plus* z alkoholami odpowiednio za 240 i 320 euro, ale oczywiście grzecznie dziękuję. Moje postanowienie weryfikują informacje przekazane mi po zakupie rejsu – napoje są dodatkowo płatne. Zastanowiło mnie też, że w pakietach *my drinks* wymieniana jest jedna półlitrowa butelka wody mineralnej, a w pakiecie *soft drinks* jej nie ma. Decyduję się na *soft drinks*, mając wiedzę, że bez jedzenia można wytrzymać dłuższy czas, ale bez nawadniania się – trzy doby.

Na statku okazało się, że do śniadania, po oczekiwaniu w kolejce, otrzymywało się wodę i nektar oraz kawę z dzbanka. W czasie lunchu i w porze dostępności przekąsek były do dyspozycji większe szklanki i woda bez ograniczeń. Do kolacji co do zasady nie podawano napojów. Nie mniej na pierwszej kolacji jako jedyny z siedmioosobowego stolika dostaję i wino, i wodę, a kieliszek i szklanka uzupełniane są natychmiast po opróżnieniu. Następnego dnia jednego i drugiego dostaję mniej, a trzeciego dnia wcale. Później dowiedziałem się, że kelner miał do dyspozycji pulę napojów i prawo podawania gościom

wedle własnego uznania. Wybór padł na mnie z całą pewnością z uwagi na mój strój (o ubieraniu się osobno). A straciłem fory, bo nie dałem napiwku. A nie dałem napiwku, bo każdy wycieczkowicz otrzymał informację: „Tradycją morskich wycieczek jest wręczanie napiwków załodze statku. Dla państwa komfortu firma w swoich warunkach sugeruje wysokości kwot napiwków – 7 euro za dzień. Podsumowując – z punktu widzenia *shoestring budget* zakup *soft drinks* był raczej nierozważny. Lepiej nosić, niż się prosić? Ale to kosztuje

Stroje

Na koszt każdej eskapady wpływa wielkość i ciężar bagażu. W praktycznych informacjach armatora zawarty był *passus*: W ciągu dnia strój jest dowolny. Wieczorami mile widziane są stroje bardziej eleganckie, podczas wieczoru galowego sugerowane stroje wieczorowe, a podczas wieczoru białego ubiór w bieli. Przypominano o zabraniu cieplejszych rzeczy z uwagi na wieczory na morzu. Naskładało mi się 15 kilogramów odzieży, co wymagało bagażu nadawanego. Na miejscu okazało się, że bez względu na porę dnia, a nawet w wieczory: galowy i biały niemal cała populacja męska prezentowała się w szortach i t-shirtach, ewentualnie polówkach. Powstaje pytanie, czy nie należało zadowolić się bagażem w postaci walizki kabinowej – wzorem siedzących ze mną przy kolacyjnym stole dwóch małżeństw Polaków ze Stanów Zjednoczonych. Dwa swetry, które zabrałem, też okazały się zbędne, bo wieczory były bardzo ciepłe. Różnica ceny większego i mniejszego bagażu to około 80 euro. Z punktu widzenia *on budget* znowu na minusie.

Zwiedzanie w biegu

Oczywiście podstawowym celem takiego rejsu jest zwiedzanie. Armator oferuje w każdym porcie różne trasy wycieczek autokarowych. W Savonie, w Palma di Maiorca i w Palermo, gdzie od portu do centrum jest kilometr czy półtora, zorganizowane zwiedzenie nie kusi. Idę od razu do informacji turystycznej, biorę darmową mapę miasta z kodem QR. Skanuję kod i z telefonem w rękę podążam do wypunktowanych na mapie miejscowych atrakcji. Oczywiście jestem po śniadaniu i pozostaje rozwiązać dylemat, czy zwiedzać do kresu możliwości – powrót na statek możliwy do godziny 18, czy też stracić lunch wydany do godziny 16:30 i dla zdrowotności przegłodzić się. Zarówno w Marsylii, jak i w Barcelonie wycieczkowiec cumuje z dala od zabytków i atrakcji. Wykupuję więc najtańsze wycieczki, których zakres sugerują ich katalogowe nazwy „Barcelona in a clic” za 49 euro i „Scenic Marseille” za 69 euro. Polacy od stolika wynajmują w obu tych portach taksówkę do pięciu najważniejszych miejsc po 35 euro od osoby, podczas gdy ja docieram do trzech.

Na wycieczkowcu nie ma nudy

Większość czasu spędza się oczywiście na wycieczkowcu. Codziennie dostaję do kabiny

gazetkę pokładową, która informuje o atrakcjach każdego dnia – w liczbie ponad pięćdziesięciu. Ich różnorodność cechuje prawdziwy rozmach – poranny marsz na 18. pokładzie wokół statku, wodny aerobic, kurs stretchingu, rywalizacja drużyn w koszówce, lekcja tańca, najróżniejsza muzyka na żywo, dyskoteki, karaoke, pokazy filmowe, seminaria na temat metabolizmu czy korekty postawy. Będąc w wirze rozrywki, musimy jednak zachować czujność. Wciąż potykamy się o osoby i miejsca, które chcą wydrzeć od nas pieniądze. Dla lepszego efektu ogranicza się możliwość kontroli nad wydatkami – pokrywa się je kartą pokładową, będącą zarazem dokumentem identyfikacyjnym, umożliwiającym przede wszystkim każdorazowe wyjście i wejście na statek oraz kartą płatniczą powiązaną z kartą kredytową zaklajstrowaną przy zaokrętowaniu. Na każdym pokładzie krąży po kilku fotografów nakłaniających cię do pozowania do zdjęcia – nie ulegniesz, nie wydajesz 15 euro. Są alejki z kilkunastoma sklepami z odzieżą, biżuterią, kosmetykami, zegarkami i kosztownymi pamiątkami. Są płatne restauracje, bary i lodziarnia, gdzie jedzenie jest bardziej wykwintne i jednak smaczniejsze od tego w cenie biletu. Jest kasyno. Do gabinetu beauty zwabiają cię bezpłatnymi pięciominutowymi masażami, a manicure kosztuje tam 49 euro, ale obejmuje masaż przedramion gorącymi kamieniami.

W takich warunkach każdy podda się chociażby wybranym ofertom. Ja zafundowałem sobie degustację pięciu włoskich win za 18,40 euro, przy czym ostatnie, pięcioletnie, spędziło trzy lata w beczce dębowej. Nie oparłem się też włoskim lodom – 3,45 euro za dwie kulki. Nieopatrznie kupiona butelka półlitrowa wody mineralnej uszczupliła moje zasoby o 2 i pół euro. Natomiast w pakiecie *soft drink* mogłem zamówić dowolnie nieskończoną ilość wody mineralnej w szklankach, podobnie jak dowolną ilość kaw, coca coli, innych napojów bezalkoholowych oraz bezalkoholowych drinków.

Nieodzownym elementem funkcjonowania współczesnego człowieka jest kompatybilność z Internetem. Jeżeli wycieczkowiec cumował w porcie, korzystałem z Internetu w ramach limitu 8,27 gigabajtów przysługujących w Unii Europejskiej. Zgodnie z zasadą *on budget* nie wykupiłem chociażby najtańszego możliwego na wycieczkowcu dostępu w postaci *Social package* pozwalającego korzystać z WhatsApp'a i social mediów w cenie dziesięć euro za dzień. Założyłem też, że odpocznę od wirtualnego świata.

Podsumowanie

W wersji mini da się odbyć tę ekskursję za 857 euro (bilet i napiwki), to jest około 4000 złotych plus koszty podróży. Balkon w kabinie nie jest niezbędny. Na kilku pokładach jest wiele miejsc do plażowania zapełnionych leżakami. Jeżeli zaś obawiamy się o komunikację werbalną, to powiem tyle, że moja znajomość angielskiego jest równa ze znajomością tego języka przez Andrzeja Poniedziałkiego (mójego rówieśnika), cytując: „Mój angielski,

jest taki mój... Jest to tak zwany angielski intuicyjny... W czasach jak ja... chodziłem na angielski, to prawdopodobieństwo, że porozmawiam w tym języku z kimkolwiek, poza moją lektorką, było zerowe, a do rozmowy z nią mnie nie ciągnęło”. Niemniej dałem radę.

Oczywiście rasowy *shoestring guide* zawiera też opis odwiedzanych miejsc, ale to już temat na odrębny tekst.

Tekst i zdjęcia Jerzy Ciesielski